

BRIAN LUMLEY

NEKROSKOP

ŹRÓDŁO



vis-à-vis
etiuda

NEKROSKOP 3

BRIAN LUMLEY

NEKROSKOP

ŹRÓDŁO

NEKROSKOP

3

vis-à-vis
effuda
Kraków 2023
[Kup książkę](#)

Tytuł oryginału: *Necroscope®: The Source*

Copyright © 1989 by Brian Lumley

All rights reserved

[Kup książkę](#)

*Dla MacAlana, Petera Tremayne'a
i Berresforda Ellisa –
moich dobrych przyjaciół*

Simonow

Agent leżał na skrawku śniegu, pośród białych głazów, na wschodnim grzbiecie dawnej przełęczy Perchorsk w środkowej części Uralu. Obserwował przez lornetkę zakrzywioną srebrzystoszarą powierzchnię pokrywającą dno wąwozu. W świetle księżyca można ją było łatwo wziąć za powierzchnię lodu, ale Michaił Simonow wiedział, że nie jest to ani lodowiec, ani też zamrznięta rzeka; była to płyta metalu, o długości około czterystu i szerokości niecałych dwustu stóp. Wzdłuż nieregularnych krawędzi, gdzie jej łagodnie zakrzywione wypukłości stykały się ze skalistymi ścianami wąwozu, i po obu stronach, gdzie metalowe łuki wnikały w betonową zapórę, płyta miała „zaledwie” sześć cali grubości, ale w środku jej grubość dochodziła do dwudziestu czterech cali. Tak w każdym razie zarejestrowały instrumenty amerykańskich satelitów szpiegowskich, które ponadto wykryły, że jest to największa zgromadzona przez człowieka masa ołowiu na świecie.

„Wygląda to jak zagrzebana częściowo w ziemi pokryta ołowiem szyjka jakiejś ogromnej butelki – pomyślał Michaił Simonow. – Magicznej butelki, tylko korek został już wyciągnięty i dzin wydostał się na wolność”. Simonow przybył tu, aby wyjaśnić tajemnicę owej nader podejrzanej ucieczki. Cicho parsknął, odpędził daleko wytwory bujnej wyobraźni i wyteżył wzrok, koncentrując się na tym, co działo się na dole.

Dnem wąwozu płynął kiedyś potok, który okresowo wylewał. Zbudowano na nim zapórę, za którą rozciągało się teraz wypełnione po brzegi sztuczne jezioro, którego powierzchnię przykrywała płaska płyta ołowiu. Pod ołowianym sklepieniem woda płynęła niewidzialnymi kanałami i wypływała czterema wielkimi strumieniami w dolnej części zapory. Nad powierzchnią wody unosiła się mgiełka, która zamarzała i pokrywała szronem dolną część wąwozu, gdzie dawnym korytem płynął potok. Pod sklepieniem z ołowiu spoczywały cztery wielkie, nieczynne teraz, turbiny omywane przez wodę z jeziora. Nie

pracowały już od dwóch lat, od dnia, gdy Rosjanie przeprowadzili pierwszą – i ostatnią – próbę swojej broni.

Pomimo zastosowanego przez Sowietów starannego kamuflażu próbę tę zarejestrowały amerykańskie satelity szpiegowskie. Nigdy nie ujawniono, co dokładnie dostrzegły; żadne informacje na ten temat nie wydostały się też z kół rządowych, ale to wystarczyło, aby wprowadzić w życie SDI, czyli plan „gwiazdnych wojen”. W bardzo wąskich, potężnych i ściśle tajnych kołach na Zachodzie zajmujących się obroną toczyły się pełne niepokoju dyskusje na temat osłon ekranujących przed wiązkami przyspieszonych cząstek, laserów zasilanych energią jądrową albo energią plazmy, a nawet na temat czegoś zwanego „Motorem Magma”, co teoretycznie miało wykorzystywać energię niewielkiej czarnej dziury, jaka zdaniem niektórych naukowców znajdowała się w jądrze naszej planety i „żywiła się” jej materią, wytwarzając jednocześnie energię zaopatrującą Ziemię; były to jednak czyste spekulacje. Z pewnością z Rosji nie wydostały się żadne istotne informacje, poza tymi, które dostarczył satelita, a przynajmniej wywiad nie dowiedział się na ten temat niczego. Przez pewien czas obszar Uralu w rejonie Perchorska był strefą jeszcze lepiej strzeżoną niż niegdyś Centrum Kosmiczne w Bajkonurze. A w następstwie owej przerażającej próby środki ostrożności zwiększono w czwórnasób.

Simonow zadygotał w swym białym futrzanym skafandrze, starannie przetarł szkła lornetki i jeszcze mocniej przywarł do zmarzniętej ziemi, gdy chmury rozsunęły się i zdradzieckie światło księżyca padło na jego postać. Nawet w lecie było tu zimno, ale jesienią panowało tu prawdziwe lodowe piekło. Teraz była późna jesień; jeżeli będzie miał trochę szczęścia, będzie mógł uniknąć spędzenia tu jeszcze jednej zimy. Nie, poprawił się, będzie musiał mieć dużo szczęścia. Cholernie dużo!

Rozciągający się przed nim krajobraz srebrzył się w świetle księżyca, ale specjalne soczewki w lornetce automatycznie przystosowały się do zmienionego oświetlenia. Skierował lornetkę w stronę przełęczy, czy raczej tego, co było przełęczą, dopóki jakieś pięć lat temu nie rozpoczęto realizacji Projektu Perchorsk.

Tutaj, na wschodnim zboczu wąwozu, stok uległ erozji w wyniku niszczącego działania jednego ze źródeł rzeki Soswy; zachodnie zbocze zostało wysadzone, tworząc głębokie siodło. Opadając stromo w dół, biegło niemal równoległe do koryta

rzeki Kamy, która po dwustu pięćdziesięciu milach docierała do Permu na linii kolejowej Kirow – Swierdłowski.

Czterdzieści lat przed rozpoczęciem projektu z przełęczy korzystali głównie drwale, traperzy i poszukiwacze; tędy przewożono także, w obie strony, sprzęt rolniczy i towary. W owych czasach ten wąski szlak dosłownie wyrąbano w litej skale i tak było do niedawna – wyboista droga przez góry. Ale Projekt Perchorsk przyniósł dramatyczne zmiany.

Wraz z budową nowej linii kolejowej na wschodzie i przedłużeniem linii z Uchty do Workuty na północy wysoko położona przełęcz od dawna straciła znaczenie jako szlak wiodący przez góry; korzystała z niej jedynie garstka okolicznych chłopów, których los wobec tego wielkiego planu w ogóle się nie liczył. Zostali po prostu przesiedleni. Miało to miejsce cztery i pół roku temu; potem z niezwykłą szybkością, pomysłowością i energią, jaką mogło zapewnić supermocarstwo, przełęcz otworzono ponownie i poszerzono, budując dwa pasy ruchu. Ale nie była to ogólnie dostępna szosa i na pewno nie była przeznaczona dla społeczności lokalnych. W istocie mieszkańcom surowo zakazano używania przełęczy.

W sumie realizacja projektu zajęła prawie trzy lata i w ciągu tego okresu sowieckie służby wywiadowcze pozwalały na przecieki niewinnych informacji, o „przełęczy na Uralu, która jest w trakcie remontu i rozbudowy”. Taka była oficjalna wersja, która miała utrudnić Stanom Zjednoczonym właściwą interpretację zdjęć satelitarnych. A gdyby były potrzebne jakieś dodatkowe dowody, że prace nad Projektem Perchorsk są całkiem niewinne, można się było na własne oczy przekonać, że przez przełęcz poprowadzono rurociągi do przesyłania gazu i ropy. Rosjanie nie mogli jednak ukryć budowy zapór i ruchów ciężkiego sprzętu, ogromnej ołowianej płyty pokrywającej łożysko rwącego potoku, a nade wszystko napływu coraz większej ilości wojska. Prowadzono tam zakrojone na wielką skalę prace ziemne, drążono tunele i wysadzano w powietrze tysiące ton skał, które następnie wywożono ciężarówkami lub po prostu zrzucano do okolicznych wąwozów. Poza tym zainstalowano tam skomplikowaną aparaturę elektroniczną i liczne inne urządzenia. Większość tych prac była doskonale widoczna z przestrzeni kosmicznej, a wszystkie wywoływały wielką irytację zachodniego wywiadu i służb bezpieczeństwa. Jak zwykle So-

wieci utrudniali innym życie, jak mogli. Prace prowadzili w niemal niedostępnym wąwozie o stromych zboczach i głębokości dziewięciuset stóp, wskutek czego satelita musiał się znajdować dokładnie nad nim, żeby był w stanie cokolwiek wychwyć.

Na Zachodzie spekulacje na ten temat nie ustawały. Istniało wiele rozmaitych hipotez. Może Rosjanie zamierzali prowadzić tajne prace górnicze? Mogło być tak, że właśnie odkryli na Uralu wielkie złoża bogatej rudy uranu. Z drugiej strony może byli zainteresowani budową eksperymentalnej instalacji jądrowej w głębi górskiego masywu. Albo może budowali i zamierzali przeprowadzić próby czegoś zupełnie nowego i nieznanego? Jak się okazało – a okazało się to przed dwoma laty – raczej mieli zwolennicy tej ostatniej teorii.

Po raz kolejny Michaił Simonow został przywołany do rzeczywistości, tym razem przez odległy warkot silnika Diesla, który niósł się głuchym echem z głębi wąwozu, zagłuszany przez świst wiatru. Kiedy księżyc skrył się za chmurami, światła reflektorów konwoju wolno jadących ciężarówek przecięły panujące ciemności. Pojazdy pojawiły się w głębokim wycięciu zachodniego siodła. Ogromne kanciaste ciężarówki były oddalone prawie o milę i znajdowały się jakieś pięćset stóp poniżej stanowiska Simonowa, ale mimo to jeszcze bardziej przywarł do podłoża i wcisnął się między głązy. Była to kontrolowana, automatyczna, niemal instynktowna reakcja na grożące niebezpieczeństwo i nie miała nic wspólnego z paniką. Pieniądze przeznaczone na jego wyszkolenie nie poszły na marne.

Kiedy konwój minął przełęcz i zaczął zjeżdżać stromo w dół, światło reflektorów załało żwirowaną drogę oślepiającym blaskiem. Zafascynowany Simonow słuchał warkotu silników pracujących na coraz niższych obrotach i patrzył, jak sprawnie odbywa się przyjęcie konwoju.

Nie odejmując lornetki od oczu, sięgnął do kieszeni i wyjął mały aparat fotograficzny, który przymocował do dolnej części obudowy lornetki. Następnie wcisnął guzik aparatu i powrócił do swoich obserwacji. Wszystko, co widział, było teraz automatycznie rejestrowane; wykonując co sześć sekund jedno zdjęcie, uzyska w ciągu czterech i pół minuty czterdzieści pięć idealnych fotografii. Nie spodziewał się zresztą zobaczyć niczego szczególnie interesującego: już wiedział, co się znajduje

w ciężarówkach, więc zdjęcia miały jedynie przekonać tych na Zachodzie, że tu właśnie było miejsce ich przeznaczenia.

Konwój tworzyły cztery ciężarówki: jedna z nich zawierała wszystkie elementy niezbędne do postawienia wysokiego na dziesięć stóp ogrodzenia pod prądem, dwie następne wiozły części i amunicję do trzech sprzężonych dział kalibru 13 mm, a czwarta i ostatnia zawierała zespół generatorów napędzanych silnikami Diesla. Nie, zawartość transportu nie była żadną tajemnicą; jeśli jednak Rosjanie zamierzali osłaniać Projekt Perchorsk, pytanie brzmiało: przed kim?

Przed kim albo... przed czym?

Aparat Simonowa pracował prawie bezgłośnie; oczy Simonowa rejestrowały wszystko, co się działo poniżej. Zdawał sobie sprawę, że ze względu na wysoki poziom promieniowania może tu jeszcze przebywać najwyżej przez dziesięć czy piętnaście minut, ale myślami błędził gdzie indziej. Wtedy, prawie dwa lata temu, był w Londynie. Wspomnienia przywołał widok jadących ciężarówek. Zobaczył wówczas krótki film, który pokazali mu Amerykanie. Prawdziwy film, a nie nieruchome zdjęcia. Trochę się odprężył. Robił to, czego od niego oczekiwano, mógł więc sobie pozwolić na mały psychiczny odpoczynek. A poza tym, zobaczywszy ów film, nie mógł się od niego uwolnić.

Film pokazywał coś, co się wydarzyło siedem tygodni po tzw. Incydencie Perchorskim, który był znany pod kryptonimem „Pigułka”. Ale była to pigułka cholernie trudna do przełknięcia. Historia przedstawiała się następująco:

Był wczesny ranek pewnego słonecznego dnia w połowie października. Przez jakieś trzy godziny dawna linia wczesnego ostrzegania, na granicy z Kanadą, była sceną szybko po sobie następujących wydarzeń, ponieważ dwa satelity szpiegowskie penetrujące rejon Morza Barentsa i Morza Karskiego wykryły niezidentyfikowany obiekt, który wtargnął do przestrzeni powietrznej Stanów Zjednoczonych. Informacje o tym fakcie przesłano do Kanady i do baz sił powietrznych USA w Maine i New Hampshire. Poinformowano także Waszyngton, a bazy rakietowe na Grenlandii i wyspie Baffina zostały postawione w stan podwyższonej gotowości; odpowiednie informacje przesłano również do innych krajów. Wielka Brytania nie wykazała wielkiego zainteresowania i poprosiła o dalsze szczegóły.

Dania, jak zwykle, zareagowała nerwowo (z powodu Grenlandii), Islandia zbagatelizowała całą sprawę, a Francja w ogóle nie potwierdziła otrzymania komunikatu.

Ale wtedy wypadki zaczęły nabierać tempa. Satelity straciły intruza z oczu (mianem „intruza” określano każdy obiekt latający poruszający się nad Morzem Arktycznym ze wschodu na zachód), ale w tym samym czasie został on przechwycony przez obronę przeciwlotniczą w rejonie koła podbiegunowego. Obiekt podążał trochę nieregularnym kursem, ale wydawało się, że zmierzał w kierunku Wyspy św. Elżbiety. Ponadto Rosjanie wysłali dwa samoloty przechwytyjące z bazy wojskowej w Kirowsku, na wschód od Murmańska. Norwegia i Szwecja podzielały nerwowość Duńczyków. Stany Zjednoczone były ogromnie zaintrygowane, ale jak dotąd nie zaniepokojone (obiekt poruszał się zbyt wolno, aby mógł stanowić realne zagrożenie), jednak zadanie jego śledzenia powierzono samolotowi zwiadowczemu wyposażonemu w system AWACS, którego rutynowe zadania zostały odwołane; ponadto z lotniska w pobliżu Fort Fairfield w stanie Maine wystartowały dwa samoloty myśliwskie.

Upłynęły właśnie cztery godziny od chwili, gdy obiekt (UFO?) został dostrzeżony nad Nową Ziemią; jak dotąd pokonał niewiele ponad dziewięćset mil, przelatując na zachód od Ziemi Franciszka Józefa i podążając, jak się wydawało, prosto w kierunku wyspy Ellesmere. Tam właśnie dogoniły go migi, ale trzeba dodać, że choć z geograficznego punktu widzenia znalazły się w tym samym miejscu, były na maksymalnym pułapie, podczas gdy UFO poruszało się o dwie mile wyżej! W tej sytuacji migi i UFO mogły się wzajemnie widzieć.

To, co wydarzyło się potem, nie jest całkiem jasne, ponieważ baza w Kirowsku zarządziła ciszę radiową, lecz na podstawie późniejszych wypadków można się było pokusić o zrekonstruowanie sytuacji. Obiekt obniżył lot, przyśpieszył i zaatakował. Migi prawdopodobnie zdołały otworzyć ogień tuż przed tym, jak rozleciały się na kawałki. Ich szczątki przepadły gdzieś pośród śniegu i lodu, jakieś sześćset mil od bieguna i w podobnej odległości od wyspy Ellesmere...

Teraz intruz naprawdę zaczyna stanowić zagrożenie. W międzyczasie jego szybkość wzrasta do około trzystu pięćdziesięciu mil na godzinę; leci kursem prostym jak strzała. Załoga samolotu AWACS melduje, że migi, prawdopodobnie zestrze-

lone, znikły z ekranów radaru, ale kontakt z Moskwą, nawiązany za pomocą gorącej linii, jak zwykle niczego nie wyjaśnia: „Jakie migi? Jaki intruz?”.

Amerykanie są lekko poirytowani: „Ten samolot naruszył naszą przestrzeń powietrzną. Nie ma prawa tam być. Jeśli nadal będzie leciał tym kursem, zostanie przechwycony i zmuszony do lądowania. Jeśli nie posłucha rozkazu albo zareaguje w jakiś wrogi sposób, może zostać zestrzelony, zniszczony”...

I wtedy Rosjanie nieoczekiwanie wysyłają komunikat: „Zgoda! Cokolwiek widzicie na swoich ekranach, nie mamy z tym nic wspólnego. Stanowczo zaprzeczamy. Zróbcie, co uznacie za stosowne!”.

Ze stacji nasłuchowej w Hammerfest w Norwegii docierają znacznie bardziej szczegółowe meldunki: obiekt pochodzi z rejonu Uralu, koło Labytnangi, dokładnie na kole podbiegunowym, z błędem około stu mil. Gdyby dodać lub odjąć trzysta mil, uzyskalibyśmy trafniejszą lokalizację. Przełęcz Perchorsk znajduje się bowiem w tej właśnie odległości od punktu wyjściowego. Niestety na północ od Labytnangi leży Workuta, najbardziej na północ wysunięta sowiecka baza raketowa, która ma połączenie kolejowe z Uchtą. Teraz Amerykanie, którzy dotąd byli lekko poirytowani, są poważnie zaniepokojeni. Co u licha kombinują Czerwoni? Czy jakaś wyrzeczona z Workuty doświadczalna rakietka wymknęła się im spod kontroli? A jeżeli tak, czy była zaopatrzona w głowicę bojową?

Ile głowic bojowych?

Stan gotowości zostaje podwyższony o dwa stopnie i przez gorącą linię na Moskwę sypie się grad pytań. Ale Sowieci, choć nerwowo, nadal zaprzeczają, że cokolwiek wiedzą na ten temat.

Wciąż napływają coraz dokładniejsze dane. Obiekt jest teraz widoczny na obrazie z satelity, na radarze naziemnym, na ekranach systemu AWACS. Jeszcze nie można go dostrzec gołym okiem, ale to już coś. Satelity szpiegowskie utrzymują, że może to być gęste stado ptaków, ale jakie ptaki latają z szybkością przekraczającą trzysta mil na godzinę i na wysokości pięciu mil ponad kołem podbiegunowym? Oczywiście zderzenie z ptakami mogło być przyczyną katastrofy migów, ale... Ścisłe tajne najnowocześniejsze radary na dawnej linii obrony pokazują, że jest to albo duży samolot, albo... stacja kosmiczna, która zesłała z orbity. A także że charakteryzuje się niezwykle małą zawar-

tością metalu, a dokładnie, że nie ma go wcale! Jednak wywiad jak dotąd nigdy nie trafił na ślad samolotu (nie mówiąc o stacji kosmicznej) o długości ponad dwustu stóp, wykonanego z brezentu. AWACS twierdzi, że obiekt porusza się skokami, jak ogromna kosmiczna ośmiornica. A AWACS na ogół się nie myli.

Minęła właśnie godzina od startu amerykańskich samolotów przechwytyjących. Lecąc z szybkością niemal dwukrotnie przekraczającą liczbę Macha, przelatują nad Zatoką Hudsona od wysp Belcher do punktu około dwieście mil na północ od Churchill. Mijają samolot AWACS i zostawiają go za sobą. Z samolotu nadchodzi informacja, że cel znajduje się dokładnie przed nimi i że zszedł na wysokość 10 tysięcy stóp. W końcu, tak jak przedtem migi, dostrzegają intruza.

Na tym kończyła się relacja, którą CIA i MI6 przedstawiły Simonowowi, zanim pokazano mu film zarejestrowany przez system AWACS, a kiedy oficer skończył mówić, zaczął się film. Pelen dramatyzmu, i nie bez powodu...

„Dostrzec intruza”, pomyślał Simonow i poczuł w ustach tak gorzki smak, że omal głośno nie splunął. Na Boga, tak! Tak przecież nazywała się ta gra, prawda? W siłach bezpieczeństwa, wywiadzie, szpiegostwie hasłem było: *Dostrzec intruza*. Wszystkie strony robiły to znakomicie, choć niektóre trochę lepiej od innych. A tu i teraz to on, Michael J. Simmons, alias Michaił Simonow, był intruzem. Tyle że go jeszcze nie dostrzeżono.

I wtedy, gdy ponownie skierował uwagę na scenę rozgrywającą się na dole w wąwozie, wyczuł czy usłyszał coś obcego. Gdzieś za nim i poniżej rozległ się dźwięk potraconego kamyka, a potem cichy stukot kamieni ciągnących za sobą w dół małą lawinę towarzyszy. Ostatnim etapem wspinaczki Simonowa była stroma, poprzecinana tarasami grań, po której musiał się prawie czołgać, pokryta luźnymi odłamkami skalnymi i kamiennym osypiskiem. Może kiedy tu wchodził, pozostawił jakiś kamyk balansujący na skalnej krawędzi, a teraz silny podmuch wiatru strącił go w dół. Simonow miał nadzieję, że tak właśnie było, ale...

A jeśli to było coś innego? Miał niedawno to samo uczucie – rodzaj nie dającego spokoju, na poły uświadamianego podejrzenia – że ktoś czy coś jest świadome jego obecności. Przypuszczał, że każdy szpieg musi nauczyć się żyć z tym uczuciem.

Może dlatego, że wszystko wydawało się przebiegać zbyt gładko, teraz więc zaczął sobie wyobrażać, że wpadnie w jakieś tarapaty. Miał nadzieję, że to tylko wyobrażnia. Ale żeby mieć pewność...

Nie oglądając się za siebie i nie zmieniając pozycji, rozpiął skafander, sięgnął do wewnętrznej kieszeni i wyjął wielki, groźnie wyglądający rewolwer automatyczny z przytwierdzonym krótkim tłumikiem. Sprawdził magazynek i cicho schował broń z powrotem. Wszystko to robił jedną ręką, z wyuczoną swobodą, ani na chwilę nie przestając fotografować ciężarówek w wąwozie. Może kilka ostatnich klatek nie będzie najlepszej jakości. Niewielkie zmartwienie. Simonow był zadowolony z tego, co udało mu się uzyskać.

Mały aparat przymocowany do lornetki pstryknął po raz ostatni i wydał ostrzegawczy dźwięk, sygnalizując zakończenie cyklu. Simonow odłączył aparat od lornetki i schował. Następnie wcisnął lornetkę w szczelinę między głazami, ostrożnie zarepetował broń, lekko obrócił głowę i dźwignął się na kolana. Wyrzwał z ukrycia przez szczelinę w kształcie litery V, utworzoną przez stykające się wierzchołki dwóch zaokrąglonych głazów. Niczego nie dostrzegł. Urwiska opadały stromo w dół, a gdzieś tam widać było występy skalne pokryte cienką, błyszczącą warstwą śniegu. A daleko w dole, teraz niewidoczny w mroku, na łagodnie opadających zboczach rósł las. Wszystko było nieruchome i wydawało się czarno-białe w przyćmionym blasku gwiazd i wyglądającego od czasu do czasu zza chmur księżyca. Tylko lekkie podmuchy wiatru unosiły z występów i półek skalnych małe obłoczki śnieżnego pyłu. Oczywiście było tu mnóstwo miejsc, gdzie mogli się ukryć ludzie – nikt nie wiedział tego lepiej niż on sam, był przecież ekspertem w ukrywaniu się – ale z drugiej strony, gdyby go śledzono, po co mieliby tutaj za nim wchodzić? Byłoby łatwiej poczekać na niego na dole, nieprawdaż? Jednak wciąż miał wrażenie, że nie jest sam, wrażenie, które narastało za każdym razem, kiedy odwiedzał to miejsce.

To miejsce to idealne siedlisko dla stworów nie z tego świata...

Powrócił do poprzedniej pozycji i podniósł lornetkę do oczu. W wąwozie, gdzie stroma droga zbiegała w stronę wznoszących się ku górze ścian zapory i łączącej je zakrzywionej ołowianej

plyty, zabłyśła smuga światła wydobywająca się z otworu wydrążonego w skale. Ruchem ciężarówek kierowała grupa mężczyzn w żółtych kombinezonach. Kiedy ostatnia z nich skręciła na płaski podjazd i znikła za ogromnymi rozsuwanymi drzwiami z ołowiu, weszli do środka groty. Inna grupa pośpiesznie zebrała ustawione na drodze znaki sygnalizacyjne. W międzyczasie wielkie drzwi zamknęły się z głuchym szczękiem, ale pozostawiono otwartą małą bramkę, z której na drogę padała wiązka żółtego światła. Jednak po chwili, gdy mężczyźni weszli do środka, i ona została zamknięta. Reflektory oświetlające przełęcz zgasły i zapanowała kompletna ciemność. Spiętrzona przez zaporę woda i wielka ołowiana osłona znów odbijały światło gwiazd.

Chodziło właśnie o ten ołów. I te wzniesienia, które wykazywały lekką radioaktywność. A także o to „coś”, sfilmowane przez AWACS podczas potyczki z myśliwcami sił powietrznych USA. Simonow nie potrafił opanować lekkiego dreszczu, którego przyczyną tym razem nie było dotkliwe zimno. Schował lornetkę do płaskiego, skórzanego futerału, który wsunął pod skafander. Potem jeszcze przez chwilę leżał nieruchomo, wpatrując się w leżącą u jego stóp przepaść, podczas gdy wyobrażenia podsuwała mu obrazy tamtych wydarzeń zarejestrowane na taśmie filmowej...

Wciąż pamiętając to, co zobaczył wtedy w Londynie, starał się o tym nie myśleć. Ale to czasami powracało w jego snach. Czy to... to... cokolwiek to było, mogło naprawdę pochodzić stąd? Jakaś potworna mutacja? Olbrzymi, odrażający klon, stworzony w wyniku jakiegoś szalonego eksperymentu genetycznego? Broń biologiczna, która wymykała się ludzkiemu doświadczeniu i pojmowaniu? To właśnie miał tutaj odkryć. Czy raczej, zdobyć ostateczny dowód, że ta *rzecz* tu właśnie się narodziła. Albo została stworzona. To kłębiące się, pulsujące, wijące...

Nagle śnieg cicho zaskrzypiał pod czyimiś stopami.

Simonow poderwał się na nogi, obrócił i wtedy ujrzał głowę i oczy wpatrujące się w niego zza skalnego rumowiska. Z rewolwerem w wyciągniętej prawej ręce rzucił się w lewo, gotów do strzału. Za grupą głazów przykucnął mężczyzna w białej kurtce z kapturem i z rewolwerem w dłoni, którą właśnie podniósł do góry, celując w Simonowa. Tuż przed zetknięciem się

z ziemią Simonow dwa razy wystrzelił; pierwsza kula ugodziła mężczyznę w ramię, a druga trafiła go prosto w pierś, odrzucając w tył na śnieg.

Głuchego odgłosu wystrzałów broni Simonowa prawie nie było słyszeć, ale ledwie zdążył złapać oddech po tym, co nastąpiło, gdy usłyszał ochryple sapnięcie, i w blasku księżyca zaśnił metal. Tuż obok Simonowa ze śniegu gwałtownie podniosła się postać i jakiś głos warknął po rosyjsku: „Ty draniu!”. Wielka ręka chwyciła Simonowa za włosy, a uderzenie czekana przeszło mu przegub dłoni, w której trzymał rewolwer, niemal przygważdżając ją do kamienistego podłoża.

W zagłębieniu wypełnionym śniegiem leżał przyczajony drugi Rosjanin. Teraz skoczył do przodu i zwałił się całym ciężarem swego ciała na Simonowa. Agent ujrzał przed sobą ciemną twarz, rząd białych wyszczerzonych zębów wśród bujnej brody i biały kołnierz. Lewym łokciem wyprowadził cios, wkładając weń wszystkie siły. Rozległ się chrzęst łamanych kości i zębów, a z ust Rosjanina wydobył się bulgoczący pisk, ale nie zwolnił uchwytu. Plując krwią i klnąc, wielki Rosjanin zamachnął się czekanem, próbując zadać drugi cios.

Simonow spróbował unieść broń. Ale to nie zdało się na nic: dłoń pozbawiona czucia opadła bezwładnie. Rosjanin przetoczył się przez niego, ochlapując go krwią, i chwycił za gardło, próbując znowu zadać uderzenie czekanem.

– Karl! – odezwał się głos dobiegający zza grupy głazów.
– Musimy go mieć żywego!

– Na ile żywego? – wykrztusił Karl, plując krwią. W następnej chwili odrzucił czekan i pięścią jak z żelaza grzmotnął Simonowa w czoło. Agent w mgnieniu oka stracił przytomność.

Z mroku wychynął trzeci Rosjanin i przykleknął obok leżącego twarzą w dół Simonowa. Wyczuł puls u nieprzytomnego mężczyzny i zapytał:

– Nic ci nie jest, Karl? Jeśli tak, zajmij się Borysem. Myślę, że ten facet wpakował mu parę kul!

– Myślisz? Ja byłem bliżej i mogę cię zapewnić, że to zrobił! – warknął Karl. Drżącymi palcami delikatnie dotknął pokiereszowanej twarzy i podszedł do leżącego w rozrzuconymi kończynami Borysa.

– Nie żyje? – spytał cicho mężczyzna klęczący obok Simonowa.

– Zimny trup – burknął Karl. – Jest tak martwy, jak powinien być ten tutaj – oskarżającym gestem wskazał Simonowa. – Zabił Borysa, zmasakrował mi twarz. Powinieneś pozwolić mi skrócić mu kark!

– To mało oryginalne, Karl – powiedział tamten z dezaprobatą, podnosząc się z kolan. Był tu dowódcą.

Był wysokim i szczupłym mężczyzną; wyglądał szczupło nawet w obszernej kurtce. Miał bladą cerę, wąskie usta i sardoniczny wyraz twarzy, a jego głęboko osadzone oczy lśniły w ciemności. Nazywał się Czyngiz Kaw i miał stopień majora, ale w specjalnym wydziale KGB, do którego należał, unikano noszenia munduru i ujawniania stopnia wojskowego. Anonimowość zwiększa skuteczność działania i zapewnia dłuższe życie. Kaw nie pamiętał, kto to powiedział, ale zgadzał się z tym całkowicie, anonimowość zapewniała to rzeczywiście. Ale jednocześnie trzeba było pilnować, aby nie wpływało to ujemnie na autorytet.

– On jest przecież naszym wrogiem – warknął Karl.

– Och tak, z całą pewnością. Ale jest tylko jednym z wielu naszych wrogów. Zgoda, że warto go porządnie ścisnąć za gardło, i może będziesz jeszcze miał szansę to zrobić, ale najpierw trzeba z niego wycisnąć, co się da.

– Potrzebuję pomocy lekarza – Karl delikatnie przykładając śnieg do porozbijanej twarzy.

– On też – Kaw wskazał ruchem głowy Simonowa. – A także biedny Borys. – Wrócił do skalnej kryjówki po przenośne radio. Wyciągnął antenę i zaczął mówić do mikrofonu: – Zero, tu Kaw. Przyślijcie tu zaraz helikopter sanitarny. Jesteśmy o kilometr od Projektu, idąc w górę rzeki, na wschodnim grzbiecie. Pilot zobaczy światło mojej latarki... Odbiór.

– Zero, zrozumiałem, towarzyszu, wyłączam się – nadeszła odpowiedź, lekko zniekształcona zakłóceniami. Kaw wyjął wielką latarkę, włączył ją, postawił pionowo na ziemi i ubił śnieg wokół niej. Potem rozpiął skafander Simonowa i zaczął wypróżniać mu kieszenie. Nie było tam wiele: lornetka, rosyjskie papierosy, trochę wymięta fotografia szczupłej dziewczyny siedzącej wśród stokrotek, ołówek i mały bloczek, kilka zapalek, „oficjalny” sowiecki dowód osobisty i zakrzywiony gumowy pasek o grubości pół cala i długości dwóch. Kaw przez długą chwilę przyglądał się kawałkowi gumy. Miała wgłębienia, które wyglądały jak...

– Odciski zębów! – kiwnął głową Kaw.

– Co takiego? – wymamrotał Karl. Podeszedł bliżej, żeby zobaczyć, co robi Kaw. Mówił przez przesiąkniętą krwią śnieg, którym tamował krew płynącą z ran nosa i warg. – Co? Powiedziałeś, że to odciski zębów?

Kaw pokazał mu gumę.

– To prowizoryczna osłona – wyjaśnił. – Myślę, że zakładają w nocy, żeby nie zgrzytać zębami!

Obaj mężczyźni przyklękli obok Simonowa. Nieprzytomny mężczyzna jęknął i lekko się poruszył, ale w końcu poddał się mocnemu uściskowi rąk Rosjanina. Karl szeroko otworzył mu usta, mówiąc:

– W górnej kieszeni mam małą latarkę. – Kaw wyjął latarkę i oświetlił wnętrze jamy ustnej Simonowa. Z lewej strony, u dołu, w drugim zębie od tyłu – tam to ukrył. Na pierwszy rzut oka mogło się wydawać, że to plomba, ale po dokładniejszym zbadaaniu okazało się, że otwór w zębie krył maleńki pojemnik. Część emalii odpadła, odsłaniając powierzchnię metalu.

– Cyjanek? – zaciekał się Karl.

– Nie, mają teraz znacznie lepsze środki niż dawniej – odparł Kaw. – Działają błyskawicznie i zupełnie bezboleśnie. Lepiej to wyjmijmy, zanim się ocknie. Kto wie, może chciałby zostać bohaterem!

– Obróć mu głowę w lewo – burknął Karl. W wielkiej kieszeni miał dwa rewolwery, Simonowa i Borysa; teraz je wyjął i wcisnął kolbę broni Simonowa do ust. Broń jego martwego kolegi miała długą i cienką lufę. – Nie zamierzam cierpieć bardziej niż on! – burknął znów Karl. – Myślę, że Borysowi spodobałoby się, że używam jego rewolweru.

– Co? – niemal krzyknął Kaw. – Chcesz mu to wybić kulą? Zmasakrujesz mu twarz, a szok mógłby go zabić!

– Miałbym wielką ochotę, ale nie to jest moim zamiarem. – Oparł dłoń drugiej ręki na kolbie rewolweru.

Kaw odwrócił głowę. Ta część pracy należała do takich jak Karl. Kaw lubił myśleć, że czysta, zwierzęca brutalność jest mu obca. Spojrzał ponad krawędzią grani i zacisnął zęby w odruchu współczucia, gdy usłyszał, jak ogromna dłoń Karla uderza w kolbę rewolweru.

– No i już – powiedział Karl z zadowoleniem. – Załatwione!
– W istocie wybił mężczyźnie dwa zęby: ten z pojemnikiem

i sąsiedni. Teraz brudnymi palcami wyciągał go z zakrwawionych ust Simonowa. – Załatwione – powtórzył Karl – i nie uszkodziłem pojemnika. Popatrz! Myślę, że zaraz by się obudził, ale teraz jeszcze przez jakiś czas będzie nieprzytomny.

– Dobra robota – wzdrygnął się Kaw. – Włóż mu do ust trochę śniegu, ale nie za dużo! – Przechylił głowę i dodał: – Już są.

Przyćmione światło rozjaśniło wąwóz, jakby nadchodził świt. Rozbłysło gwałtownie i równocześnie rozległ się warkot silnika helikoptera...

Jazz Simmons spadał, spadał, spadał. Był na wierzchołku, a teraz spadał. Była to bardzo wysoka góra i dużo czasu upłynie, zanim znajdzie się na dole. W istocie spadał już tak długo, że wydawało mu się, iż unosi się w powietrzu. Leciał rozpostarty jak żaba, jak doświadczony skoczek spadochronowy, który czeka na właściwy moment, aby otworzyć spadochron. Tylko że Jazz nie miał spadochronu. I kiedy spadł, musiał w coś uderzyć twarzą, bo usta miał pełne krwi.

Mdłości i wymioty obudziły go z kosmaru i przywiodły do koszarnej rzeczywistości. Naprawdę spadał! W następnej chwili, przypomniawszy sobie wszystko, przez głowę przemknęła mu myśl:

Boże! Zrzucili mnie do wąwozu!

Ale nie spadał, tylko unosił się w powietrzu. Przynajmniej ta część jego kosmaru była prawdziwa. Teraz, gdy jego mózg znów zaczął pracować i szok nieco ustąpił, poczuł ciasny ucisk uprząży i prąd powietrza idący od wielkiego śmigła helikoptera. Wyciągnął szyję i wykręcił się, dzięki czemu jakoś udało mu się spojrzeć w górę. Nad nim wisiał helikopter, którego reflektory penetrowały dno wąwozu, ale bezpośrednio nad jego głową...

Bezpośrednio nad jego głową wolno wirowało, zawieszone na drugiej linie, ciało martwego mężczyzny. Ramiona i nogi zwisały bezwładnie, a martwe oczy były otwarte i za każdym razem kiedy się obracał, spotykały się ze wzrokiem Jazza. Ujrawszy czerwone plamy na jego białej kurtce, Jazz domyślił się, że to człowiek, którego zastrzelił.

I wtedy...

Powrócił szok, a wraz z nim żądza zemsty, uczucie nieważkości i zawroty głowy; podmuchy zimnego powietrza i hałas

silnika helikoptera spowodowały, że znów stracił przytomność. Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętał, kiedy pogrążał się w czarnym oceanie niepamięci, była myśl, dlaczego usta ma pełne krwi i co się stało z jego zębami.

W chwilę po tym, jak zemdlął, helikopter opuścił go na płaski wierzchołek zapory i ubrani na żółto mężczyźni odczepili go od helikoptera. Zdjęli także Borysa Dudkę, tego dzielnego syna Matki Rosji. Z Jazzem Simmonsem nie obesзли się zbyt łagodnie, ale i tak nic nie czuł ani go to nie obchodziło.

Nie wiedział też, że za chwilę spełni się sen każdego szefa wywiadu na Zachodzie: oto za chwilę znajdzie się w sercu Projektu Perchorsk.

A jak się stamtąd wydostać, to już zupełnie inna sprawa...